



GRAHAM
MASTERTON

SUSZA

1

Gdy tylko Martin zaparkował przy krawężniku, usłyszał krzyk dobiegający z wnętrza domu. Chwycił pękatą teczkę z notatkami ze sprawy i błyskawicznie wyskoczył z brązowego kabrioletu Eldorado, przerzucając nogi nad drzwiami. Kiedy stał na chodniku, mrożona szyba we frontowych drzwiach pękła nagle niczym od strzału z pistoletu. Dostrzegł kobietę w ciemnoczerwonej sukience, którą prawdopodobnie ktoś pchnął na drzwi od strony korytarza.

— Ty kurwo! — rozległ się ochrypły męski krzyk. — Dwa tygodnie mnie nie ma, a ty co robisz?! Dwa tygodnie! Nie możesz poczekać na mnie dwa tygodnie?!

Kobieta została pchnięta na drzwi po raz drugi, tym razem tak mocno, że duży trójkątny odłamek szyby upadł na ganek. Martin rzucił teczkę z powrotem na siedzenie pasażera i szybko podszedł do domu chodnikiem.

— Ty kurwo! Ty *pisona*! Ty jedno wielkie gówno! Zabiję cię!

Martin zbliżył się do drzwi; potłuczone szkło chrzęściło mu pod butami. Przez otwór po szybie widział kobietę siedzącą na wycieraczce plecami do niego; szlochała, kręcone włosy opadały jej na ramiona. Nieogolony Latynos w brudnym T-shircie stał przed nią, zaciskając dłonie w pięści, i zezował z wściekłością.

— Jesus! — Martin krzyknął do niego. — Cofnij się, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałował! Zostaw ją!

Mężczyzna nie zwracał na niego uwagi. Chwycił kobietę za sukienkę, dźwignął na nogi, a potem uderzył dwukrotnie pięścią w twarz. Martin usłyszał, jak pękają jej kości w nosie; na ścianę trysnęła krew, tworząc spirale i zawijasy.

— Jesus, zostaw ją!

Lecz Jesus szarpał kobietą, trzymając ją za ubranie. Była na wpół przytomna, a ręce zwisały jej bezwładnie, jakby gibko tańczyła salsę.

— Spierdalaj! — rzucił Jesus. — To moja sprawa, opieka społeczna nie ma tu nic do gadania! Dalej, spierdalaj! *Vete a la verga!*

Martin cofnął się o krok, a potem kopnął drzwi tak mocno, że pękło w nich wzmocnienie. Kopnął po raz kolejny i teraz zamek ustąpił, a drzwi otworzyły się na oścież, bujając się na zawiasach. Jesus puścił kobietę, która bezwładnie osunęła się na podłogę, a sam wycofał się do kuchni, unosząc obie ręce, aby odeprzeć Martina.

— Nie dotykaj mnie! Ostrzegam! Kurwa, nie waż się mnie tknąć! Ty... pracujesz dla opieki społecznej... nie możesz mnie dotknąć! Takie jest prawo!

Martin bez wahania obszedł kobietę i zmierzał w stronę mężczyzny. Jesus wycofał się do kuchni i nerwowo próbował zatrzaskać Martinowi przed nosem drzwi, ale się spóźnił. Martin naparł na nie barkiem, Jesus stracił równowagę i zatoczył się na laminowany stół zawalony brudnymi talerzami i pustymi butelkami po piwie, które z hukiem roztrzaskały się na podłodze.

— Nie waż się mnie tknąć! — Jesus był tak przerażony, że jego głos przeszedł w wysokie wycie, podobne do pisku psa duszącego się na za ciasnej smyczy. — Dotknij mnie, a przysięgam na Boga, że wywalą cię z tej twojej pierdolonej pracy! Już ja się o to postaram!

— Och, tak? — odparł Martin. — A jak masz zamiar to

zrobić, skoro będziesz siedział w pierdlu pod zarzutem napaści?

— Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj! — darł się Jesus. Wycofał się pod sam zlew kuchenny, ale Martin odwrócił go, chwycił za nadgarstek i po chwili obie ręce wykręcił mu do tyłu, zginając w łokciach na plecach aż pod łopatki. Jesus cuchnął piwem, potem i spleśniałymi papierosami, a włosy na ramionach miał tak najeżone, że Martinowi zdawało się, że trzyma wielkiego psa, a nie człowieka. Mimo wielkości Jesus sprawiał wrażenie słabego.

— Nie możesz! — protestował. — Nie możesz mi tego robić! Pracujesz dla okręgu! Znam swoje prawa! Mam swoje prawa!

— A pewnie, że masz. Po pierwsze, masz prawo milczeć, ty sadystyczna kanalio. W zasadzie to sam się przy tym upieram.

Jakby dla podkreślenia swoich słów, podciągnął ręce Jesusa jeszcze wyżej między łopatki. Latynos zaskomlał z bólu jak baba.

Martin wypchnął go z kuchni na korytarz, nieomal unosząc w powietrze. Po lewej stronie znajdowały się brudne, kiedyś kremowe drzwi z naklejoną wyblakłą kalkomanią — czerwoną różą. Obrócił się do nich plecami i otworzył je kopniakiem, a potem wepchnął Jesusa do środka. Wszystkie domy po tej stronie East Julia Street były identyczne i Martin wiedział, że to toaleta.

— Co robisz? — krzyknął na niego Jesus. — Co, kurwa, robisz, zboczeńcu?

Ubikacja była mała i wąska, okienko zasłaniała bladoniebieska żaluzja, której najwyraźniej nie odkurzano od zainstalowania. Na parapecie stała wyschnięta roślina, a rozbite lustro nad umywalką wyglądało jak kalejdoskop. Po podłodze walały się cuchnące tenisówki i zardzewiałe wrotki, a na rezerwuarze stała pełna petów popielniczka. Muszla był obrzydliwie brudna, poznaczona strużkami w pięćdziesięciu odcieniach ciemnego brązu, a zabarwiona na żółto woda

cuchnęła stęchłym moczem.

— Nie możesz! — krzyknął Jesus. — Nie wolno ci! To wbrew prawu!

Martin nie odpowiedział. Zmusił Jesusa, aby ukląkł na podłodze przed sedesem, a potem chwycił go za kark i wepchnął mu głowę do muszli, jak mógł najdalej. Martin usłyszał, jak skronie Latynosa uderzają o porcelanę.

— Och, nie! Nie! Matko Boska kochana! Nie!

Martin pociągnął za spłuczkę i spuścił wodę. Jesus szarpał się, gdy woda spływała kaskadą po jego głowie. Martin trzymał go na klęczkach, aż woda przestała płynąć, a potem podniósł. Jesus parskał, kaszlał, mrugał oczami i przez pierwsze kilka sekund nie mógł wydusić ani słowa.

— No? — spytał Martin. — Nie taki z ciebie twardziel, co?

— Nie możesz... nie możesz, kurwa, tak robić...

— Mogę i będę, i, cholera, nic na to nie poradzisz. Tobie nawet nie wolno przebywać w tym domu, jesteś nic niewart i tylko marnujesz powietrze, i dobrze o tym wiesz. Nie wolno ci nawet się tu zbliżać. Jak myślisz, jak by się czuł mały Mario, gdyby zobaczył, że bijesz jego matkę? Sądzisz, że by cię szanował?

— To mój syn! A jak ma szanować ją, własną matkę, skoro ona pieprzy się z kim popadnie na jego oczach? Pewnie, że ją uderzyłem. To kurwa. Sama się o to prosiła.

— A teraz, Jesus, zostawisz ją w spokoju. Sąd tak ci nakazuje i ja ci to mówię.

— No to spierdalaj — Jesus wycodził mu w twarz. — To moja żona, czyli moja własność, i żaden sąd nie zakaże mi dostępu do niej, ani też żaden *caca palo* z opieki społecznej.

Martin wcisnął z powrotem głowę Jesusa do muszli i pociągnął za spłuczkę. Tym razem jednak rączka opadła luźno i woda nie popłynęła. Martin pociągnął jeszcze raz, ale rezerwuar się nie napełniał. Znowu podniósł Jesusa na nogi.

— Więc jak będzie? — zapytał. — Będiesz się trzymał z dala od Ezzie?

Jesus wypłuł wodę i wytarł usta grzbietem dłoni, a potem znowu splunął.

— Tak? Czy nie? — naciskał go Martin. — Jeżeli nie, to mogę wepchnąć ci głowę do kibla trzeci raz, nie ma problemu. I jeszcze raz, jeśli będzie trzeba. Będę to robić tak długo, aż zmienisz zdanie.

Jesus spojrzał na muszlę pokrytą skorupą brudu. Teraz nie było w niej wody. Splunął do środka, a potem spojrzał na Martina i pokręcił głową.

— Dobra — powiedział. — Wygrałeś, gnoju.

— Na pewno nie chcesz jeszcze raz zanurkować?

Jesus znowu pokręcił głową. Martin zwolnił chwyt i Jesus wstał, niemal tracąc równowagę; oparł się o ścianę. Podszedł do umywalki, odkręcił kurek, ale poleciała jedynie słaba strużka wody. Zdenerwowany uderzył w kran.

— Kurwa, wody nie ma! Co to, kurwa, jest?

— Może Ezzie nie zapłaciła rachunku?

— To wy, kurwa! Wy, z opieki społecznej macie płacić rachunki za wodę!

Znowu uderzył w kran, ale bez rezultatu. Musiał zadowolić się wytarciem włosów w szary zatechły ręcznik, który wisiał obok umywalki. Gdy to zrobił, przyjrzał się swojemu odbiciu w rozbitym lustrze.

— Jeśli dostanę jakiegoś śmiertelnego zakażenia, to ty... ty jesteś trupem, obiecuję — wystękał.

— Nie, Jesus. Jeśli złapiesz śmiertelną infekcję, to ty będziesz trupem, a świat stanie się lepszy, uwierz mi. No to gdzie jest Mario? Muszę zabrać Ezzie do szpitala.

Wrócił na korytarz. Esmeralda teraz siedziała, opierając się plecami o ścianę, i rąbkiem ciemnoczerwonej sukienki tamowała krwotok z nosa. Jej krzywe brązowe nogi poznaczone były różnokolorowymi sińcami. Czerwonymi, fioletowymi, żółtymi, w zależności od tego, jak dawno powstały.

— Jesus właśnie wychodzi, prawda, Jesus? — odezwał się Martin.

Jesus wyłonił się z łazienki ze sterczącymi mokrymi włosami. Nic nie odpowiedział Martinowi, ale kiedy mijał Esmeraldę w drodze do wyważonych frontowych drzwi, zatrzymał się i splunął na nią.

— *Pisona!* — wycedził.

— Hejże! — zawołał Martin. — Chcesz jeszcze raz zanurkować do sedesu? Z radością ci pomogę!

Jesus wyszedł sztywno w milczeniu. Kilka sekund później przejechał obok nich swoim jaskrawożółtym mustangiem z turbodoładowaniem, prowokująco trąbiąc klaksonem.

Martin kucnął obok Esmeraldy i obejrzał jej twarz. Powieki miała już purpurowe i tak spuchnięte, że ledwo widziała na oczy, a nos wyglądał jak wielka rdzawoczerwona śliwka. Górna warga była rozcięta. Martin nie potrafił odróżnić krwi od lepkiej czerwonej szminki.

— No, chodź, Esmeraldo — odezwał się łagodnie. — Muszę cię zabrać na ostry dyżur. Gdzie Mario?

— Został dzisiaj u kolegi, Billy'ego. Dobrze, że go tu nie było, jak Jesus przyszedł. To diabeł wcielony.

Martin pomógł jej się podnieść. Zanim wyszli, oderwał kawałek kartonu po pomidorach, który znalazł w kuchni, i zatkał nim rozbitą szybę w drzwiach. Potem udało mu się je zaklinować kolejnym kawałkiem kartonu, żeby przynajmniej wyglądały na zamknięte.

— Nie przejmuj się — powiedziała Esmeralda zdławionym głosem. — Nie mam nic, co byłoby warto ukraść. Poza Mariem nie mam nic wartościowego.

Martin otworzył przed nią drzwi eldorado. Spojrzał na bezchmurne niebo. Był dziewiąty lipca, nie padało od dwunastego listopada, a i wtedy spadło zaledwie dwa i pół milimetra. Pamiętał tę datę, ponieważ tego dnia odeszła od niego Peta, zabierając Ellę i Tylera. Stał na chodniku i patrzył, jak odjeżdżają, i wtedy zaczęło padać, bardzo delikatnie i bardzo cicho. I był to pierwszy deszcz od ponad roku.

Usiadł za kierownicą.

— Ezzie, posłuchaj mnie — rzekł. — Wszyscy mamy coś, nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy. Jednak przez większość życia tego nie doceniamy. Jak to jest w tej piosence? „Nie wiesz, co masz, dopóki tego nie stracisz”.

2

Poczekał czterdzieści pięć minut z Esmeraldą na oddziale urazowym Szpitala Miejskiego San Bernardino, siedząc obok starszego mężczyzny, który cuchnął zjełczałym czosnkiem i jęczał głośno co dwie lub trzy minuty. Po każdym jęku skrzeczał: *Madre de Dios!* i stale się żegnał. W szpitalu przynajmniej było chłodno, chociaż słońce wpadające przez okna odbijało się tak mocnym światłem od białych ścian i jasnej marmurowej posadzki, że Martin czuł się, jakby znajdował się na prześwietlonym zdjęciu, więc założył swoje ray-bany.

— Sypiam z Jorgem, bo jest dla mnie dobry i zawsze mi pomaga — powiedziała Esmeralda i przyłożyła chusteczkę do nosa. — Jest żonaty, ale nie znam jego żony. To źle, wiem. Czasami jednak czuję się taka samotna.

— Ezzie, możesz spać, z kim chcesz, o ile jesteś dyskretna i mały Mario się o tym nie dowie — odparł Martin. — Dla mnie priorytetem jest dobro dziecka... dla ciebie też powinno być, no i dla Jęsusa.

— Mario nic o tym nie wie. Jorge przychodzi, gdy on jest w przedszkolu. Nie chcę, aby się dowiedział. Jęsus nadal jest jego ojcem, mimo że jest *tapado*.

W tym momencie podeszła do nich latynoska pielęgniarka o szerokich biodrach, w bładoniebieskim uniformie.

— Pani Rivera? — zagadnęła. — Proszę pozwolić za mną. Doktor Varga zbada panią teraz.

Ezzie chwyciła go za rękę i szepnęła:

— Zobaczmy się później, Martin. Jesteś dobrym człowiekiem, niech cię Bóg błogosławi. Zupełnie innym niż pracownicy społeczni, których znałam do tej pory.

Martin uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Niewiele jest we mnie dobrego, Ezzie — odparł. — W zasadzie nie różnię się zbytnio od twojego Jezusa. Tylko przypadkiem znalazłem się po stronie aniołów.

— Powinieneś uważać na Jezusa. On nigdy nie zapomina. Jeżeli uzna, że go skrzywdziłeś, odpłaci ci w dwójnasób, nawet gdyby miał czekać latami.

Kiedy Martin odprowadzał wzrokiem pielęgniarkę i Esmeraldę idące na oddział urazowy, zadzwoniła jego komórka, odtwarzając początkowe takty *Mandolin Rain*.

— Martin?

— Och, cześć, Peta. Słuchaj... jestem teraz w szpitalu. Poczekaj, wyjdę na zewnątrz.

Przeszedł na szpitalny parking. Minęło właśnie południe i temperatura zdecydowanie przekraczała czterdzieści stopni. Flaga na maszcie zwisała bez życia, a nad asfaltem rozgrzane powietrze drżało i wywoływało złudzenie, że po parkingu płynie woda. Martin miał na sobie jedynie białą koszulę z krótkim rękawem i drelichowe spodnie khaki, ale zanim dotarł do zacienionego pasażu prowadzącego na postój dla karetek, czoło zrosiły mu krople potu, a koszula przylgnęła do pleców.

— Martin, nie mamy wody. Z kranów nic nie leci i nie ma czym splukiwać ubikacji.

— Z tym samym spotkałem się w centrum na East Julia Street przed jakąś godziną. A jak to wygląda u sąsiadów? Mają wodę?

— Nie. Nikt nie ma. Próbowалам się dodzwonić do wodociągów, ale u nich ciągle zajęte. Sprawdziłam też ich stronę internetową i nie ma tam żadnej informacji o odcięciu

wody. Zastanawiałam się, czy może ty coś wiesz.

— Nie, nic. Spróbuję się dowiedzieć, co się dzieje, i oddzwonię do ciebie. Przypuszczam, że jakaś magistrala wodna pękła, to wszystko. Pewnie naprawią pod koniec dnia.

— Martwię się Ellą, w tym kłopot — powiedziała Peta. — Ma gorączkę ponad trzydzieści siedem stopni i dreszcze. Nie chcę zostać bez wody, jeżeli miałyby zachorować.

— Dzwoniłaś do lekarza?

— Chyba nie muszę, w każdym razie jeszcze nie teraz. Dałam jej lek przeciwgorączkowy i położyłam do łóżka. To pewnie nic gorszego niż bóle menstruacyjne.

Martin nie odpowiedział. Ella zawsze była jego ukochaną córeczką, a myśl o tym, że staje się kobietą, kiedy jego nie ma przy niej, ciągle go bolała. Wiedział jednak, że sam jest temu winien — rozpadowi małżeństwa z Petą. Żadna kobieta nie potrafiłaby znieść jego czarnych humorów i niespodziewanych wahań nastrojów. Nazywał je „dniami dzina”, na pamiątkę demonów, które rzekomo pojawiały się podczas burz piaskowych w Afganistanie i sprawiały, że wszystkich ogarniało szaleństwo lub depresja.

— Teraz wracam do biura — poinformował Petę. — Obiecuję, że zajmę się tym i oddzwonię do ciebie. Jak się miewa Tyler, tak przy okazji, wszystko w porządku?

— U Tylera wszystko dobrze. Kiedy nie śpi albo jest w szkole, tkwi przed swoim laptopem, ale wszyscy jego koledzy są tacy sami.

— Dobrze, Peto. Jak powiedziałem, oddzwonię do ciebie. — Miał ochotę dodać: „Kocham cię”, wiedział jednak, że to ją tylko rozdrażni.

„Skoro kochasz mnie tak bardzo, dlaczego krzyczałeś na mnie, dyrygowałeś mną i tyranizowałeś? Dlaczego nie poszukałeś pomocy, jeżeli byłeś tak poruszony tym, co przydarzyło ci się w Afganistanie?”

3

W drodze powrotnej do biura w Carousel Mall Martin włączył radio w samochodzie. Prognoza pogody na KTIE nie przewidywała, jak to się określało, „wyraźnych opadów”. Innymi słowy, w ciągu następnych czterech dni nie spodziewano się żadnego deszczu. Temperatura w ciągu dnia będzie sięgać od czterdziestu do czterdziestu pięciu stopni, a w nocy spadnie do dwudziestu ośmiu.

Z radia popłynął komunikat: „Wodociągi Miejskie San Bernardino zwracają się z prośbą do wszystkich mieszkańców o restrykcyjne oszczędzanie wody. Trzyletni okres braku większych opadów doprowadził nas do sytuacji krytycznej. Obywatele, dobrze się zastanówcie, zanim umyjecie samochód, sprawdzajcie także w internecie grafik podlewania, zanim zdecydujecie, ile wody przeznaczyć na nawadnianie roślin”.

Martin zaparkował na podziemnym parkingu i wjechał windą do biura. Gdy pchnął szklane drzwi ze srebrnym napisem „Urząd do spraw Dzieci i Rodziny w Okręgu San Bernardino”, recepcjonistka Brenda jak zwykle rzuciła mu gniewne spojrzenie znad grubych oprawek okularów. Martin zawsze uważał, że Brenda byłaby całkiem atrakcyjna, gdyby nie nosiła takich belferskich bryli i nie zaplatała włosów w ciasny warkocz francuski, niczym zwój miedzianego drutu. Czasami zastanawiał się, czy zawsze jest w stosunku do niego taka

zjadliwa, bo też uważa go za atrakcyjnego.

— Arlene chce cię widzieć u siebie — powiedziała.

— Dobrze, Brendo, dzięki — odparł i skierował się korytarzem do automatu z napojami.

— Zdaje się, że ona chce się z tobą widzieć natychmiast — dodała Brenda. — „Jak tylko zjawi się w drzwiach”, dokładnie tak powiedziała.

— Na pewno powtórzę jej, że przekazałaś mi tę wiadomość.

Szedł dalej korytarzem, wepchnął dolara do automatu i puszka dra peppera z hałasem wyleciała z otworu. Brenda nadal łypała na niego gniewnie, gdy przemaszerował przed jej biurkiem.

— Brendo, miej serce. Gardło mam suche jak odbyt wielbłąda.

Kobieta wydeła usta, ale nic nie powiedziała. Jednak gdy Martin podszedł do drzwi Arlene Kaiser i zastukał w nie, rzucił spojrzenie za siebie i był pewien, że dostrzegł na jej twarzy uśmiech. Kobiety, pomyślał. Gdyby tylko wyrażały się jasno, mówiły, co czują, i nie kazały się tego domyślać.

— Wejść! — usłyszał ze środka wysoki krzyk, otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

Arlene była zastępcą dyrektora Urzędu do spraw Dzieci i Rodziny, wobec czego miała stalowoszare biurko wielkości samolotu transportowego i narożny gabinet. Z okien mogła podziwiać widok dachów pokrytych pomarańczowymi dachówkami, rusztowań i dźwigów oraz odległy łańcuch gór San Bernardino, zamglony i rozedrgany w popołudniowym żarze.

— Ach, Martin! — wrzasnęła przenikliwie Arlene. — W końcu! Nie dostałeś mojego esemesa?

— Esemesa? — Martin zamrugał oczami, jakby nie do końca zrozumiał, o co jej chodzi.

Arlene była niską, korpulentną pięćdziesięcioletką o krótko przyciętych kasztanowych włosach i niepasującej do niej cherubinkowatej twarzy z jasnoniebieskimi oczami i

kartoflowatym nosem. Miała na sobie nylonową musztardową bluzkę i kasztanową plisowaną spódnicę pod kolor włosów, a do tego naszyjnik z błyszczących zielonych koralików, które wyglądały jak oliwki.

— Cóż, nieważne. Dobrze, że już jesteś. Oto Saskia Vane z wodociągów i jej współpracownik...

— Lem Kunicki — przedstawił się siedzący w kącie błądy mężczyzna po trzydziestce. W jasnocytrynowej koszulce polo i szarych płóciennych spodniach wtapiał się w otoczenie niczym kameleon. Miał nawet wypukłe jak gad oczy.

Saskia Vane jednak niewidzialna zdecydowanie nie była. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami obok biurka Arlene ubrana w szkarłatną garsonkę z krótkim żakiem i bardzo kusą minispódniczką. Do tego miała wysokie szpilki od Louboutina z jaskrawoczerwonymi podeszwami. Jej czarne, błyszczące, geometrycznie ścięte włosy podkreślały ostre kąty policzków i skośne, kocie oczy. Pełne, wydatne usta umalowała szkarłatną szminką pod kolor garsonki. Czarny T-shirt z dużym wycięciem, który miała pod żakiem, odsłaniał mocno opalony dekolt. Między piersiami zwisał naszyjnik, wyglądający na zęb rekina osadzony w złocie.

Uniosła w stronę Martina bezwładną jak śnięta ryba dłoń. Ujął ją i krótko uściśnął, szczerząc się w uśmiechu. Kobieta nie spuszczała z niego oczu, gdy przysuwał krzesło, aby usiąść obok, ale uśmiechu nie odwzajemniła. Pachniała jaśminowymi perfumami z piżmowym akcentem, jakich używa kobieta, by zatuszować woń niedawnego seksu.

— A zatem, pani Vane, jest pani z wodociągów? To szczęśliwy zbieg okoliczności. Właśnie z kimś od was chciałem rozmawiać.

— Martinie, mów do mnie Saskia. Tak naprawdę nie reprezentuję samych wodociągów. Należę do specjalnego zespołu kryzysowego, który powołał gubernator Smiley. Naszym zadaniem jest doradzanie urzędnikom miejscowego samorządu, jak radzić sobie z trwającą suszą.

— Och! W takim razie jesteś właśnie tą osobą, z którą chcę rozmawiać. Moja żona przed chwilą zadzwoniła do mnie z Fullerton Drive i powiedziała, że nie ma wody. A dzisiaj rano, kiedy miałem interwencję na East Julia Street, tam też nie było wody. Co się dzieje?

Saskia uśmiechnęła się do niego niepewnie, jak to robią politycy, gdy zada się im niewygodne pytanie.

— Obawiam się, że wymienione przez ciebie miejsca nie są mi znane, więc nie potrafię udzielić konkretnej odpowiedzi. Ale mogę odpowiedzieć bardziej ogólnie.

Martin zerknął na Arlene, ale jego przełożona po prostu skinęła głową w stronę Saskii, jakby kazała mu słuchać, co kobieta ma do powiedzenia, bo było to ważne.

— Przyjechałam do was, ponieważ stanęliśmy w obliczu konieczności wprowadzenia rotacyjnych przerw w dostawie wody — mówiła dalej Saskia.

— Słucham? Rotacyjnych przerw? To brzmi jak jakaś choroba skóry.

Kobieta nadal uśmiechała się bez emocji.

— Pozwól, że ci wyjaśnię. Zasoby wody na świecie od prawie pięćdziesięciu lat stale się zmniejszają.

— Oczywiście, wiem o tym. Ale nie wyobrażam sobie, aby to miasto wyschło, a ty? Siedzimy na podziemnych zapasach wody tak dużych, że nie wiemy, co z nimi zrobić. W końcu to był główny powód, dla którego zbudowano to miasto. A co z Arrowhead Springs w górach? San Bernardino przecież eksportuje wodę, na miłość boską.

— Hm, przykro mi, ale teraz już nie eksportuje. Zobaczycie w wiadomościach telewizyjnych, że zbiorniki są prawie puste, a poziom wody w rzekach i jeziorach nigdy nie był tak niski. Tak jest na terenie całego kraju od jednego wybrzeża po drugie, szczególnie w Kalifornii i na Środkowym Zachodzie. Nawet tutaj, w San Bernardino. Mieliście cztery miliony metrów sześciennych wody zmagazynowanej w zbiornikach, a wasze studnie głębinowe zgromadziły więcej wody, niż jest

w jeziorze Shasta, jednak teraz zapasy spadły do jednej piątej. Popyt przerasta podaż, i to znacznie! To jeden z powodów mojej wizyty.

— Dobrze — odezwał się Martin. — Nadal mi jednak nie powiedziałaś, co oznaczają te przerwy rotacyjne.

— To ściśle poufna informacja, którą ujawniamy jedynie wybranym osobom: urzędnikom samorządowym wyższego szczebla, służbom kryzysowym, policji i wojsku. Gdybyśmy ją upowszechnili, ryzykowalibyśmy panikę w całym kraju. Susza jest o wiele bardziej dotkliwa, niż przedstawia się to w wiadomościach. Plony zostały zniszczone, szczególnie kukurydzy i soi, i jeżeli sytuacja się nie zmieni, koniecznie trzeba będzie racjonować zarówno żywność, jak i wodę.

— Mów dalej — wtrącił Martin. Od dawna miał awersję do wysłuchiwania kazań, szczególnie wygłaszanych przez kobiety, ale czuł, że od tego się nie wywinie.

— Zostaliśmy zmuszeni do wprowadzenia rotacyjnych przerw w dostawach wody w San Bernardino — oznajmiła Saskia. — Zarówno w mieście, jak i w całym okręgu. To znaczy, że zakrećamy wodę według grafiku, najpierw jedna dzielnica, potem druga, a robimy to bez wcześniejszego ostrzeżenia.

— To dość drastyczne posunięcie, nie sądzisz?

— Tak, zgadzam się. Ale jeżeli poinformuje się ludzi, że będzie przerwa w dostawie wody, oni natychmiast nabiorą jej do wiader, wanien i innych pojemników, jakie im tylko wpadną w ręce, co jeszcze bardziej uszczupli nasze rezerwy.

— A jak długo taka „rotacyjna przerwa” ma trwać?

— Mam nadzieję, że nie dłużej niż czterdzieści osiem godzin.

— Czterdzieści osiem godzin w tym upale?

— Hm, liczymy na to, że nie trzeba będzie dłużej.

— Daj spokój! Jak ludzie mają się myć, gotować i robić inne rzeczy, do których potrzebna jest woda?

— Obawiam się, że będą musieli sobie jakoś poradzić.

— Łatwo powiedzieć. A co z miejscowymi firmami? Jak sobie poradzą restauracje i pralnie? A co ze szpitalami, przychodniami, domami opieki? Po czterdziestu ośmiu godzinach, wierz mi, ludzie nie tylko będą spragnieni... będą umierać. Widziałem suszę, kiedy służyłem w Afganistanie, brak wody nie trwał dłużej niż dwa dni, a starcy i dzieci padali jak muchy.

— Martinie, najwyraźniej tego nie rozumiesz — przerwała mu Saskia. — Pomyśl tylko o San Bernardino. Średnia opadów wynosi zazwyczaj czterdzieści jeden centymetrów na rok, a to, według wszelkich standardów, dość mało. W ciągu ostatnich trzech lat spadło mniej niż jedna dziesiąta tego, trzy i osiem dziesiątych centymetra, a to już katastrofa. Nie możemy dostarczyć ludziom wody, której po prostu nie mamy.

Zamilkła na moment i ściszyła głos, jakby chciała być lepiej rozumiana.

— Przyjechałam tutaj dzisiaj, aby wam uświadomić, że wiele dysfunkcyjnych rodzin znajdzie się w jeszcze większym stresie, kiedy dowie się, że nie mają wody, szczególnie przy takim upale. Musicie wiedzieć, jaka jest sytuacja, aby utrzymać wśród nich spokój, wyjaśnić im, że Wodociągi Miejskie San Bernardino robią wszystko, co mogą, aby sprawiedliwie podzielić wodę, i że protesty nie wyjdą im na dobre, a w zasadzie będą miały wręcz odwrotny skutek. Musicie im wytłumaczyć, że susza to dzieło Boga, a nie wina okręgu czy stanu, czy też władz federalnych.

— Bo to leży w waszych kompetencjach, tak? — zapytał ją Martin. — Przyjechaliście tu powiedzieć nam, że mamy powstrzymać spragnioną, spoconą i niechętną tłuszcę przed buntem?

Saskia znowu uniosła oczy i zmierzyła go wzrokiem.

— To leży w najlepszym interesie nas wszystkich. Szczególnie tych wszystkich dzieci, o które się troszczycie.

— Więc co mamy im powiedzieć? Niech piją colę? I myją się w niej, gotują i polewają trawniki?

— Nawet nie to. Fabryka Coca-Coli w Los Angeles została zamknięta przynajmniej na trzy tygodnie, aby oszczędzić wodę. Pepsi-Co też. W zasadzie wszyscy producenci napojów dostali nakaz wstrzymania produkcji aż do odwołania. Żadnej coli, żadnego mountain dew, żadnego gatorade. Nic.

Arlene pochyliła się na krześle do przodu i posłała Martinowi swoją najbardziej surową minę.

— Saskia powiedziała mi, Martinie, że gubernator Smiley ściśle kontroluje sytuację, i sam rozumiesz dlaczego.

— Och, pewnie. To staje się niebezpiecznie nieludzkie.

Arlene zignorowała jego odpowiedź.

— To, co powiedziała nam Saskia, wiesz tylko ty, Martinie, nikt inny w biurze, uwierz, bo jesteś odpowiedzialny za najbardziej zdeprawowane dzielnice w mieście, w których jest największe ryzyko niepokojów społecznych. Tu, w urzędzie, jesteśmy na pierwszej linii frontu, wiesz o tym. Musimy zrobić, co w naszej mocy, aby powstrzymać rodziny wysokiego ryzyka przed buntem i rozpadem, i szkodą, jaką wyrządziłoby to dzieciom.

Martin wzruszył ramionami.

— W porządku, Arlene, skoro tak mówisz. Nie za bardzo jednak rozumiem, jak można się zbuntować i rozpaść jednocześnie, szczególnie kiedy nie ma wody. Ale przynajmniej teraz wiem, co się dzieje. Zadzwoń do żony i powiem jej.

Wstał, ale Saskia wyciągnęła rękę i chwyciła go za skórzany pasek zegarka.

— Wołałabym, żebyś tego nie robił, Martinie.

— Wołałabyś, żebym czego nie...? Nie mówił żonie? Wszystko w porządku. Właściwie to moja była żona.

— Wołałabym, żebyśmy stosowali zasadę, że każdy wie tylko tyle, ile musi. Jak powiedziałam, możemy stać na krawędzi narodowej paniki. Wystarczy jedna iskra, a zajmie się cały las.

— Z całym szacunkiem, Saskio, myślę, że moja była jest w takiej sytuacji, że musi się dowiedzieć. Córka dostała

gorączki, a w domu nie ma wody.

— Zatem powiedz jej tylko, że woda będzie niedługo i żeby jeszcze trochę wytrzymała. Nie wolno mi tego nikomu doradzać, bo zapasy są naprawdę skąpe, ale powiedz jej, żeby poszła do najbliższego supermarketu i kupiła na zapas tyle wody butelkowanej, ile może, o ile już tego nie zrobiła... i o ile jeszcze jakaś tam jest.

Martin spojrzał na rękę Saskii, która nadal spoczywała na jego nadgarstku. Czerwony lakier na paznokciach pasował do koloru garsonki i szminki. Na palcu miała jeden duży pierścionek z czerwonym agatem, ale żadnej obrączki. Był pewien, że chociaż nie rozumie kobiet, to się ich nie boi. Mimo to w Saskii Vane było coś, co wytrącało go z równowagi, chociaż nie bardzo rozumiał, co to takiego. Może to ten ostry zapach perfum. Albo to, jak na niego patrzyła oczyma tak jasnymi i twardymi jak główki gwoździ. Może się jej nie bał, ale było oczywiste, że ona jego też się nie bała.

— Dobrze — przystał. — Ale musicie dać nam grafik, które dzielnice zamierzacie odciąć i kiedy. A potem... jeśli wybuchną jakieś zamieszki... przynajmniej będziemy na nie gotowi.

— Tego nie mogę zrobić, Martinie. To naprawdę są poufne informacje. Jeżeli dostaną się w niepowołane ręce, rozpęta się piekło. Niektóre dzielnice mają wyższe i bardziej palące potrzeby od innych, a możesz sobie wyobrazić niechęć, jeżeli okaże się, że jedni są odłączani na krótszy czas od innych.

Nie wiedział, co powiedzieć. Spojrzał znowu na Arlene, ale ona jedynie wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia, co jeszcze możemy zrobić, Martinie. Naszym zadaniem jest utrzymanie rodzin i ochrona dzieci. Wszczynanie zamieszek w tym nie pomoże.

Martin uniósł nieco rękę i Saskia zwolniła chwyt.

— Dobrze, że się spotkaliśmy — powiedziała. — Słuchaj... weź moją wizytówkę. Jeżeli chciałbyś się jeszcze czegoś dowiedzieć, po prostu zadzwoń. Masz teraz jeszcze jakieś

pytania?

— Nie — odparł Martin. — Raczej nie. A może... tak, jedno. Chciałbym wiedzieć, jakie masz kwalifikacje? To znaczy czego trzeba, aby ktoś taki jak ty został wybrany do zespołu doradców kryzysowych?

Saskia nie spuszczała z niego wzroku, nawet nie mrugnęła, a Martin myślał, że pewnie nie odpowie albo wręcz każe mu pilnować własnego nosa.

— Dobrej prezencji i naturalnego daru dyplomacji — odezwała się po chwili. — Oraz doktoratu z zarządzania środowiskiem na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. To mi pomogło. I dyplom z prawa. Oraz koneksje w pewnych bardzo wysokich sferach.

— Tylko się zastanawiałem, to wszystko — rzucił Martin. — Trudno mi wyobrazić sobie ciebie jako małą, niewinną dziewczynkę marzącą, by mówić wszystkim w Kalifornii, żeby tak często nie spłukiwali muszli.

Saskia odwróciła od niego wzrok, ale jednocześnie odparła:

— Nigdy nie byłam niewinną dziewczynką.

Martin zawahał się. Gdyby teraz byli w barze, a on by ją podrywał, wymyśliłby jakąś inteligentną i prowokacyjną odpowiedź, ale znajdowali się w gabinecie Arlene, która bacznie się im przysłuchiwała.

Uśmiechnął się zatem do Saskii, jakby chciał powiedzieć: „trafiony”, a potem zasalutował Arlene i odwrócił się, by wyjść. Gdy był w drodze do drzwi, błady mężczyzna w cytrynowej koszuli poderwał się z krzesła i podał mu rękę.

— Lem Kunicki — powiedział. Dłoń miał chłodną i wilgotną, a Martin poczuł się tak, jakby ścisnął rękę komuś, kto niedawno zmarł.